

Pierwsze lata po wojnie - Academia Zamoscensis

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)



Po lewej gmach Akademii Zamoscensis, w środku dzwonnica kolegiaty, obecnej katedry, fot. arch. autorki

Tym razem piszę o Zamościu i szkole okresu stalinowskiego. Tak wiele się zmieniło od tej pory, że myślę o przekazaniu pokoleniu moich wnuków, jak wyglądała wtedy szkoła i jaką wychowawczą organizacją było harcerstwo w wydaniu przedwojennym. Ponieważ obecne szkoły średnie stały się zagrożeniem tak dla uczniów, jak i dla nauczycieli - uważam, że powrót do sprawdzonych metod wychowawczych mógłby pohamować głupią przemoc i wybryki z nudów. Zamieszczonych w moich wspomnieniach pieśni patriotycznych dzisiaj już nikt nie zna, widać zaniedbanie rozwoju duchowego, zanik wrażliwości na piękno przyrody, miłości do krajobrazu i

zabytkowej architektury. Wydaje mi się, że prawdziwa, rzetelna wiedza historyczna mogą przynajmniej pomóc odciągnąć młodzież od wpływu tej zagubionej moralnie z prawej drogi. Myślę, że mówienie i uprzytamnianie jednak coś da.

Po powrocie z niewoli, ojciec zabrał nas do Zamościa, gdzie była już ciocia Janka, siostra ojca i babcia – Mateńka. Początkowo zmuszeni byliśmy zamieszkać w jednym z domów posesji ojca, ale nie w tym ukochanym. Dwa niewielkie pokoiki i zimno-wilgotna kuchnia z wejściem bezpośrednim ze dworu. Mama przestała się poruszać. Ostry ischias (*rwa kulszowa, przyp. red.*) tak biedną zaatakował, że nie mogła wstać z łóżka. Miała wtedy dopiero 46 lat. Ojciec chorować zaczął na wrzody (karbunkuł), które wysypywały się na karku, bardzo bolesne i usztywniające, paraliżujące wszelkie ruchy. Miał tyle samo lat, co mama. Oboje bardzo cierpieli. Pracę dostał w PKO mieszczącym się w tzw. Centralce, czyli tam, gdzie przed wojną, ale pensja była tak mała, że nie mogliśmy się z niej utrzymać. Było głodno. Od września zaczęliśmy wszyscy chodzić do szkoły średniej. My z Elą do żeńskiego Liceum im. Marii Konopnickiej, bracia do Liceum im. hetmana Jana Zamoyskiego. Obie szkoły mieściły się wówczas w ogromnym, zabytkowym gmachu Akademii Zamoscensis z bardzo dobrymi tradycjami.

Pierwsze powojenne Święta Bożego Narodzenia obchodziliśmy w ciasnocie z bardzo kłującą choinką z jałowca, która musiała stać na kufrze. Jedno spanie było na biurku taty wciśniętym w kąt, drugie na wyrku pod oknem. W drugim pokoju na zsuniętych łóżkach mieścili się rodzice ze mną i Elą, dopóki siostra nie wywalczyła sobie własnego pokoju w naszym domu.

Przyjmowaliśmy gości – serdecznych przyjaciół rodziców. A byli nimi ks. dziekan Zawisza, proboszcz kolegiaty zamojskiej i pani Irena Czaplicka, więzień Auschwitz. Państwo Czapliccy mieszkali przed wojną po sąsiedzku i zawsze zapraszali nas wszystkich. Dom podobny do naszego był na kształt dworu z dużymi pokojami, ładnie urządzonymi. Pamiętam wiszące na choince marcepany w różnych kształtach, jak bombki. Podniesiono mnie wysoko i pozwolono wybrać coś, co mi się najbardziej podoba. Wskazałam na długą laskę w złotym opakowaniu. W środku były karmelki. Długo zjadałam ją po kawałku. Takie nieistotne szczegóły pozostają w pamięci – nie wiadomo dlaczego. Pamiętam też pierwsze imieninowe prezenty od pani Czaplickiej.

A tymi cieszyłam się ogromnie. Srebrny pierścionek z oczkiem w kolorze miodu nosiłam z dumą, podobnie, jak granatową wstążkę do moich warkoczyków.

Mama wyjechała na kurację do Buska Zdroju. Chodziliśmy wtedy na obiady do Caritasu, gdzie dawano jednodaniowe posiłki dla ubogich. Zaliczaliśmy się co takich. W domu jedliśmy na okrągło pęczak. Do dzisiaj nie mogę na niego patrzeć. Po ośmiu tygodniach leczenia, witaliśmy mamę stojącą na własnych nogach. Stał się cud, życie wróciło do normy. Poza tym obrodziły jabłonie, piekło się więc postną szarlotkę bez cukru i z szarej mąki, ale to i tak było wspaniale. Zupa owocowa zastąpiła znienawidzony pęczak. Najważniejsze było to, że wszyscy się uczyliśmy, a szkoły nasze miały znakomitych profesorów i oddanych pedagogów. Braci moich uczył znany i powszechnie lubiany prof. Michał Pieszko - historyk i geograf. „Cześć marszałkowi - krzyczeli chłopcy chórem - globus i pałka to symbole marszałka! Cześć, cześć, cześć!” I dopiero wtedy wolno było usiąść, bo trzeba dodać, że za moich czasów zawsze wstawało się na powitanie profesora dla okazania szacunku (o, gdzie te obyczaje?) oraz odmawiano modlitwę na początku pierwszej lekcji i na końcu ostatniej. Dodatkowo także na lekcjach religii. Drugim popularnym pedagogiem był prof. Miller, założyciel zamojskiego ZOO, które powiększone istnieje do dzisiaj. Dyrektorem gimnazjum męskiego był wówczas prof. Michał Bojarczuk, a w naszym żeńskim pani Maria Kaczyńska, później pani Hanna Porębska.

Wybitnymi naszymi profesorkami były: pani Lucyna Kniaziowa wspaniała polonistka i uwielbiana wychowawczyni. Niesłychanie skromnie ubrana, przeważnie na granatowo. Miała ciemne włosy uczesane gładko w wałek pod spód ujęty w siatkę dla idealnego porządku. Jej szaro-niebieskie oczy przenikały na wylot dogłębnie każdą z nas, po prostu czytała w naszych głowach, sercach i duszach. Nie sposób było zapomnieć mądrości tych oczu. Była w nich prawość, czystość, uczciwość, powaga i dobroć zarazem. Lubiała młodzież i rozumiała ją. Dzisiaj, z perspektywy czasu podziwiam Jej takt i umiejętność przekazywania wartości literatury polskiej w okresie, gdy zacierano wszystko, co patriotyczne, wszak rozpoczął się już reżim stalinowski. Ile kosztowały ją zdrowia wizytacje o charakterze politycznym z tendencją, by nauczyciela lub szkołę skompromitować, jak bardzo denerwowała się o nas i za nas - wiedziałyśmy to po charakterystycznej, czerwonej plamie na szyi. Zdaje się, że nasza klasa nigdy nie zawiodła.

Drugą osobowością pedagogiczną była madame Maria Markuszewska, romanistka. Uczyła nas trudnej wymowy języka francuskiego z lusterkiem, co pomagało korygować układ ust. Bezlitośnie wyśmiewała nieudolne „siur”, „dziur”, „že ne se pa”, „že ne we pa”. Sama znała język znakomicie. Była po Sorbonie i po wielu latach spędzonych we Francji. Dystyngowana dama, wyprostowana, lekko uśmiechnięta z buzią w ciup, uczesana starannie w koczek z tyłu i niezmiennie w granatowym „mundurku”. Była po prostu wzorowa! Uczyła nas przy każdej okazji dobrych manier i kultury na co dzień. Na lekcjach francuskiego wałkowałyśmy w kółko „Quand trois poules vont aux champs, la premiere va devant...” Zabawy szkolne w gronie własnym urozmaicone były małymi przedstawieniami kostiumowymi, trwały dla klas najmłodszych tylko do godziny 20-tej. Moją wychowawczynią na początku była pani Aurelia Pieszkowa, żona prof. Michała Pieszki. Uczyła nas robót ręcznych: szycia na maszynie, kroju i innych umiejętności kobiecych, które przydały się w życiu.

W szkole panowały wtedy obyczaje jak na przedwojennej pensji. Obowiązywał strój granatowy tj. spódniczka o dowolnym kroju i średniej długości oraz bluza, a na uroczystości biała z długimi rękawami bluzka. Do tego nosiło się granatowe berety. Były też w powszechnym zastosowaniu fartuszki czarne i granatowe: jedne o specjalnym kroju z plisowanymi falbankami (wzór przedwojenny) wkładane na coś w rodzaju mundurka; inne bardziej rozpowszechnione i praktyczne - to fartuchy z długimi rękawami, zapinane na mankiet, z przodu zapięcie na całej długości, paseczek w pasie i biały przyszywany kołnierzyk, zawsze świeżutki. Stroje te wymagały ciągłego prasowania i prania kołnierzy, lecz mimo to, większość dziewcząt takie nosiła. Ja donaszałam po Eli przerobioną trochę spódniczkę i bluzę z białym kołnierzem. Byłam bardzo dumna z mojej nowej szkoły i nowych koleżanek. Tą z pierwszej ławki, tuż przed katedrą profesorską, została z wyboru Alisia (Alicja) Treflerówna. Trochę grubasińska, ale ładna szatynka miła i wesoła, która mnie zaakceptowała z miejsca. Podziwiałam jej dwa długie, lśniące warkoczki, które zaplecione nad uszami spływały grubymi sznurami i kończyły się dyndającymi granatowymi kokardami w okolicach pasa. Alisia okazała się pilną, solidną, inteligentną dziewczynką i dobrą koleżanką.

Czasy najpierw wspaniałe, entuzjastyczne pozwalały nam na harcerstwo, zbiórki, ogniska, szkolne msze św. w kościele pod wezwaniem Św. Katarzyny, zaraz koło naszej budy. Pierwsze powojenne i jedyne na długie lata święto 3-go Maja

obchodzone było z wielkim wzruszeniem i zaangażowaniem patriotycznym. Uczniowie wszystkich szkół oraz ludność z całego Zamościa zebrana na rynku starego miasta - przeżywaliśmy entuzjazm. Powiewały wtedy tylko biało-czerwone flagi, a jedna, zatknięta na szpicu wieży ratusza miejskiego prostowała się powiewem wiatru rozciągając w niebo całą swoją wielometrową długość, jakby wołała: „patrzcie, oto znów jestem. Zwyciężyłam!” Łzy napływały do oczu, zwłaszcza, że w oficjalnym przemówieniu wciąż słychać było powtarzane często słowa: SUWERENNA! NIEPODLEGŁA! WOLNA! Był to rok 1946. A podczas uroczystej akademii w szkole Baśka Kowałko recytowała przepiękny wiersz I. Gałczyńskiego „Dwie flagi”, a w nim słowa przyprawiające o dreszcz w placach: „... i nigdy nie będziesz biała, nigdy nic będziesz czerwona, będziesz zawsze biało-czerwona, hej! biało-czerwona. Czerwona, jak puchar wina, biała, jak śnieżna lawina”. Jakże szybko zapomniano o rozmowie polskich flag.



Odzyskaliśmy zrujnowany dom w Zamościu, 1847 r., ja, tata i Julek Fabijańscy (Teresa, Józef, Juliusz), fot. arch. autorki

Naszą ostoją było harcerstwo - to z lat 1945-49, które nawiązywało do czasów przedwojennych i było oparte na angielskim skautingu według założyciela i jego twórcy - Baden Powella. Uczyliśmy się piosenek harcerskich zawsze żywych, w

rytmie marsza, lirycznych, śpiewanych przy ogniskach i cudownych, nastrojowych, głębokich modlitw, które przenikały leśną ciszę na wieczornych apelach obozowych i schodziły do mrużących kończącego się uściskiem splecionych na krzyż dłoni – symbolicznego gestu jedności.

O, Panie Boże, Ojczyźnie nasz

w opiece swej nas miej.

Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,

Dopomóc zawsze chciej.

Wszak Ciebie i Ojczyznę,

Miłując chcemy żyć,

Harcerskim prawom w życia dniach

Wiernymi zawsze być.

A jeszcze w Hrubieszowie nauczyłam się na zbiórkach chorału Kornela Ujejskiego.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,

Do Ciebie Panie bije ten głos.

Skarga to straszna, jęk to ostatni,

Od takich modłów bieleje włos.

*

My już bez skargi nie znamy śpiewu.

Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń.

Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu

Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.

*

O, Panie, Panie, ze zgrozą świata

Okrutne dzieje przyniósł nam czas.

Syn zabił matkę, brat zabił brata,

Mnóstwo Kainów jest pośród nas.

*

Ależ o Panie, oni niewinni

Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz.

Inni szatani byli tam czynni

O, rękę karaj, nie ślepy miecz.

Piszę z pamięci zdumiona, że słowa te tkwią we mnie ponad sześćdziesiąt lat.

Poza pieśniami i wierszami uczono nas sprawności umysłowej, fizycznej, wielu umiejętności tzw. radzenia sobie w trudnych życiowych sytuacjach. Odwaga, prawość rzetelność, spostrzegawczość, solidność i solidarność – to cnoty, które wówczas były w najwyższej cenie. Jednym słowem – tamto harcerstwo było organizacją wychowawczą, patriotyczną, dającą wiedzę, wiele sprawności i umiejętności życiowych, ale również ogromną radość i wiele atrakcji. Uczyłyśmy się wiązać węzły, musiałyśmy umieć tropić, odnajdywać drogę w lesie, nieść pomoc, w wypadkach. Później nawet skończyłam kurs sanitarny i zastałam druhną higienistką, co przydało się nie tylko w Żabczycach na Śląsku, na obozie w 1949 r. ale w ciągu całego życia.

Do niewątpliwych atrakcji należały kiermasze, na które przygotowywałyśmy same różne zabawki, bibeloty, serwetki, koszyczki itp. przedmioty własnej roboty, by po ich sprzedaży uzyskać pieniądze na organizację obozu letniego. Uwielbialiśmy

wszyscy wieczorne ogniska na stadionie zamojskim, przygotowywane wspólnie z harcerzami z Liceum męskiego im. hetmana Jan Zamoyskiego. Pomysłane były jako widowiska pełne humoru i śpiewu przy płonącym, ogromnym ognisku. Przychodziło na nie całe społeczeństwo z miasta. W zimie „ogniska” odbywały się w pomieszczeniach szkolnych z kominkiem elektrycznym niby żarem.

Zdażyłam wziąć udział w dwóch obozach, które wspominam z sentymentem. Pierwszy odbył się na Pomorzu, w Damnicy koło Słupska, w przepięknych lasach Pomorza Środkowego. Do morza daleko i do jezioru Damno również, za to świerki imponującej struktury zaczynały swe gałęzie na ziemi, a strzelały w górę piramidalnie na kilkanaście metrów. Cudo przyrody!

Wieziono nas, cały pociąg towarowy pełen harcerek i harcerzy z Lubelszczyzny, przez trzy doby. Wagony były brudne, nasz po piachu, który sypał się w oczy, włosy i w jedzenie. Miałyśmy sienniki wypchane słomą, wkoło stały ławki, które strasznie nam przeszkadzały, bo w rezultacie nasze głowy musiały zostać pod nimi. Przy różnych manewrach na bocznicach i przy zmianie toru przewracały się na nas. Ale to jeszcze nic. Gdzieś w połowie drogi zaczął padać deszcz. Wagon zaczął przeciekać. Strużki wody ściekały pod nasze sienniki. Wieziona w workach mąka, kasza i cukier zamokły, a my brudne, głodne, zmęczone, ale szczęśliwe dojechałyśmy na miejsce.

Same stawiałyśmy ogromne namioty na sześć osób. Budowałyśmy z otrzymanych od leśników tarcic prycze i półki pod plecaki. Prycza okazała się za krótka, a rezultatem tego był ból w kolanach i jęki przy porannej gimnastyce.

Nasza drużyna druhny Krysi Łenykówny miała trzy namioty ustawiono dośrodkowo. Pośrodku placu stanął maszt z wciągana i ściągana codziennie podczas apeli flagą. Życie obozowe zaczynało się o 7-mej gimnastyką-torturą, a potem według wyznaczonego porządku. Obok namiotów mistrzyni zbudowały ceglana kuchnię i zadaszenie na słupkach. Stoły i ławy naszej jadalni pod chmurką oraz latryna w głębi lasu też były wykonane przez nasze koleżanki. Piszę to wszystko dlatego bo już po nas obozy organizowano w oparciu o szkoły, ze spaniem w salach, kuchnią wiejską i kucharkami - mamami. Nie jestem pewna czy tym dziewczętom harcerstwo pomogło w życiu.

Kilka godzin przedpołudniowych wypełniała praca, fizyczna, nazywana „służbą

Polsce". Nasza drużyna miała zadanie wyjątkowo trudne polegające na plewieniu z jeżyn obszaru młodych sadzonek. Kolce jeżyn wchodziły głęboko w dłonie i dawały później odczyny zapalne z ropą. Nie miałyśmy do tej pracy ani narzędzi ani ochronnych rękawic. Wolałam więc na ochotnika zgłaszać się do pracy zaopatrzeniowca. Obie z Lalką (Ireną) Szomańską wędrowałyśmy ok. 2 km, a może więcej do pobliskiej wsi po chleb i do specjalnego magazynu, gdzie dawano nam skondensowane wojskowe amerykańskie mleko w puszkach. Jedną puszkę półlitrową chyba, konfiskowałyśmy dla siebie „za trud”. Zbaczaliśmy z drogi w pola i tam wypijałyśmy mleko zachęcając siebie wzajemnie: „popij mleczko”. To mleko było dla mnie prawdziwym lekiem ponieważ cały maj ciężko przechorowałam na zapalenie płuc. Leczona byłam chininą, bo penicyliny w Polsce jeszcze nie znano. Gorączka bliska 40 stopni nie opuszczała mnie przez dwa tygodnie. Byłam wychudzona i słaba. Zaczęły mi garściami wypadać włosy. Po powrocie mama pozwoliło mi obciąć włosy i zrobić pierwszą w życiu trwałą ondulację tzw. parową. Czy ktoś dzisiaj wie co to znaczy?



Harcerki z Zamościa na obozie w Damnicy w 1948 r. Część drużyny Krystyny Łenykówny (siedzi po lewej). Pierwsza stojąca z lewej Teresa Fabijańska, fot. arch. autorki

Okropna męka i niebezpieczeństwo poparzenia wrzątkiem, który w specjalnych rurkach nie zawsze szczelnych, bulgotał przez godzinę na głowie. Potem skołtunione

włosy niczym u merynosa, układał precyzyjnie fryzjer (przeważnie wówczas płci męskiej). W lewo i w prawo wyciskał głębokie bałwany, po czym odmieniona kompletnie wyglądałam dorosło i pretensjonalnie. Zostało to zauważone w szkole: czy wiecie, że ta mała Fabijańska zrobiła sobie trwałą? – zabrzmiało, jak skandal. Koleżanki przyjęły zmianę tolerancyjnie, a może z ociupina zazdrości.

„Wydarzenie” to odzwierciedlał też i utrwalił wiersz naszej klasowej poetki, Danki Cieliszak, wpisany do mojego pamiętnika:

Znam taką „Kropkę” co ma czarne oczy,

„Kropkę”, co często chodzi bardzo zła.

„Kropkę”, co niegdyś miała dwa warkocze,

Dzisiaj ta „Kropka” ondulację ma.

Skąd wzięła się „Kropka” nie pamiętam – fakt, że przez całą średnią szkołę nosiłam ten pseudonim.

Tymczasem w szkole wprowadzono reformę zamieniając przedwojenny system dwunastoletni na jedenastolatkę. W rezultacie, po drugiej klasie gimnazjalnej znalazłam się w klasie dziewiątej. Wprowadzono nowy przedmiot – „Służba Polsce” z komendantką zamiast profesorki. Uczyłyśmy się musztry wojskowej, nawet strzelania z KBKS-u na prawdziwej, wojskowej strzelnicy i ciągle kazano nam śpiewać socjalistyczne piosenki. „Hej, Wy konie rumaki stalowe, hej, na pola prowadźcie że nas, niech zawarczą traktory bojowe, nam już w pochód wyprawić się czas”. „Służba Polsce – święty sztandar nasz, celem dobro ludu, by nad Odrą czujnie trzymać straż, w pracy dokonać cudu”.

Do tych lekcji obowiązywał mundur składający się z wąskiej granatowej i bluzy koloru khaki, o wojskowym kroju z kieszeniami na biuście i patkami na ramionach. Na głowę były furażerki, które najlepiej nosiło się na ramieniu. Miałyśmy więc odmianę munduru. Zetempówki nosiły do tego stroju czerwone krawaty. Ani ja, ani Lalka, bardzo zaprzyjaźniona od czasu Damnicy, nie należałyśmy do tej masowej organizacji komunistycznej. Obie stanowiłyśmy filary reakcji i nawet nam się to

udało do końca. Liczyłam się z konsekwencjami takimi, że nie dostanę się na studia, ale i tak byłabym przekreślona. Ojciec wrócił z niewoli i chodził w amerykańskim mundurze, do żadnej partii nie należał, pochodzenie inteligenckie - wszystko to stawiało przy moim nazwisku gigantyczną krechę.

Jedyną nadzieją był Katolicki Uniwersytet Lubelski, gdzie nie pytano o pochodzenie i przynależność organizacyjną, jedynie o zasób wiedzy i zdolności. Na polonistyce na KUL-u studiowała już wtedy siostra Ela i zaczynał prawo Julek. Pełna więc otuchy i nadziei kończyłam szkołę ogólnokształcącą. Zwyczajem wcześniejszych lat pozwolono nam na wyhaftowanie symboli na czapce maturalnej. Właśnie, żeby łatwiej było odróżniać uczniów różnych szkół zamojskich, wprowadzono obowiązkowe czapki. Nasze miały kolor czarny, krój rogatywki z daszkiem czarnym i otokiem amarantowym, na którym złocił się złoty sznur. Czapki były bardzo gustowne i twarzowe. Miękki aksamit dobrze się układał i świetnie zginał, gdy trzeba było schować czapkę do teczki. O to noszenie na głowach stale wychowawczynie perswadowały i apelowały. Dopiero ozdobiona haftem, maturalna czapka stała się bez perswazji naszą dumą. A tym haftem było niewątpliwe curiosum - plan sześćioletni: na złotej siatce czerwona linia wykresu 1945 - 1951 z gołąbkim pokojem u góry i czerwonym, wielkim napisem AKADEMIA ZAMOSCENSIS. Signum temporis. Symbol dawnej Akademii założonej przez hetmana Jana Zamoyskiego został samowolnie zmieniony i pozbawiony herbu rodowego „Jelita” (trzy włócznie). Takie pomieszanie z poplątaniem. No, ale tak było. Ktoś wymyślił, ktoś zaakceptował Czapka, jako pamiątka rzeczowa istnieje, chociaż nieco sfatygowana.

Stosunkowo często w szkołach i w harcerstwie organizowane były zabawy taneczne. Pierwszą zabawą, która trwała aż do godziny 23 była oczywiście studniówka, świetnie przygotowana pod względem artystycznym wspólnie z kolegami z męskiego liceum - klas równoległych. Traktowałyśmy ich dość pogardliwie uważając za dzieciuchów nie umiejących tańczyć. Wzięli to sobie do serca i o dziwo! uczyli się na każdej przerwie. Któregoś dnia wybuchła afera, doszło do obrazy. I to kto? - Leszek, syn dyrektora Michała Bojarczuka nazwał nas „starymi gratami, z których sypie się próchno”. Sprawa oparła się o obie dyrekcje. Zażądałyśmy przeprosin. Wreszcie nasza pani dyrektor Hanna Porębska przyprowadziła do klasy purpurowego Leszka, który w obecności swojej sympatii, damy serca, stanął przed klasą i głośno nas przeprosił. Wtórował temu aktowi skruchy złośliwy chichot. Studniówka nie została

odwołana i pięknie udała się, z zaangażowaniem obu szkół ogólnokształcących.

Na początek przedstawiliśmy operetkę z librettem pisanym przez Hanię Skopińską i Marysię Cieślakównę – dwie utalentowane, szalone dziewczyny, moje przyjaciółki z Zamościa i wcześniej z Hrubieszowa. Reżyserowała pani Regina Cieślakowa. To było świetne przedstawienie z tekstami o naszych szkolnych bolączkach, obrazujące wkraczający do szkół reżim stalinowski i bezsens niektórych działań zwłaszcza organizacji politycznej Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), która zdominowała wszystkie organizacje i sterroryzowała grono nauczycielskie. ZMP decydowało o ich życiu. Ale młodzież, jak to młodzież zawsze sobie jakoś poradziła, chociaż byli koledzy, którym nie dano zdać matury, poszli siedzieć na zamku w Lublinie, rzekomo zamieszani w zabójstwo milicjanta w niedalekim od Zamościa Zwierzyńcu. Prawdy nie dowiedzieliśmy się nigdy. Faktem był wyrok śmierci, złagodzony do 25 lat. Śmierć Stalina i czasy Gomułki ułaskawiły ich po kilku latach spędzonych w donżonie zamku (*okrągła wieża przyp. red.*), gdzie była woda po kostki, a po jakimś czasie także we Wronkach (więzienie we Wronkach dla więźniów politycznych uważane było za najcięższe). Jurka Kurzempy, tego uroczego, inteligentnego i bardzo zdolnego kolegi-filozofa nie widziałam już nigdy, a Jurka Kuszla, ktorego poznałam przez mojego brata Julka po zwolnieniu w 1954 – siwusieńkiego, jakby miał 70 lat. Piszę o tym, by utrwalić ich pamięć.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Powrót ojca z niewoli

Z rodzinnego albumu. Życie pod zaciemnieniem.

*

TERESA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA

wybitny historyk sztuki, wieloletnia kustosz Powozowni Zamkowej w Łąncucie

Historia w karetach zaklęta